Świat powieściowy.

Nr. 153 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

XVI.

Wieczór zapadał, gdy obadwaj panowie do Werdenfels dojeżdżali. Prawie podróż całą odbyli w głuchem milczeniu. Rajmund zapadł w dawną, ponurą zadumę, i zdawał się więcej niż kiedykolwiek w sobie zamkniętym; Paweł zaś był nie mniej rad temu, iż mówić nie potrzebuje. Lżej mu się na sercu zrobiło, gdy ordynat z sanek spiesznie wysiadłszy, usunął się natychmiast do swoich apartamentów, oświadczając, iż pragnie na resztę wieczoru sam pozostać. Odkrycie na leśniczówce, dotknęło Pawła głębiej może, niżby się tego był spodziewał.

Gdy wszedł do siebie, Arnold list mu podał, mówiąc z pewnym naciskiem:

— Z Rosenberg!

Paweł poznał pismo Lily na kopercie, i chwycił list skwapliwie. Postąpił z nim ku lampie, rozpieczętował, i z zajęciem czytać zaczął.

Była to odpowiedź na jego plany co do przyszłych reform w Buchdorf, które posłał jej był, rozpisując się o wszystkiem długo i szeroko. Lily przyjęła projekta z entuzjazmem, a chociaż w niektórych poglądach zdradzała naiwność czysto dziecięcą, w punkcie głównym zgadzała się najzupełniej z młodym reformatorem, że trzeba całą siłą i jak najenergiczniej, bronić się przed władzą despotyczną księdza Wilmuta.

List cały był skreślony w tonie tak świeżym, serdecznym i dziecinnym, iż w miarę jak go czytał, uspokajał się w Pawle rozstrój nerwowy, jak ustępują czarne chmury, przed zwycięzkim i jasnym słońca promieniem. Dziś dopiero zrozumiał, o ile Anna stała wyżej od niego, i jaka przepaść ich dzieliła, nie dająca się wypełnić, choćby miłością najszczerszą i najbardziej namiętną z jego strony. I o tem przekonał się wprawdzie, iż ten piękny posąg dałby się ożywić, tylko że jemu brakło iskry z nieba wykradzionej. Inny potrafił rozpłomienić to serce na pozór lodowate, znalazł słowo czarowne, które mu raj miłości otwierało, dla tamtego te cudne oczy w łzach się kąpały, te usta dumnie wydęte drgały bolem serdecznym, a głos dźwięczał tonem łagodnym prośby gorącej, pokornej prawie! To wspomnienie wpijało się niby ostre szpony w serce młodzieńca, pełne bolu i goryczy.

Właśnie atoli ten ból i gorycz zawodu, czyniły mu tem milszym obraz jego lubej, ładniutkiej pocieszycielki. Przypominał sobie jej współczucie, gdy odchodził zrozpaczony po odmowie stanowczej ze strony Anny, jej trwogę dziecinną wprawdzie, ale tak rozczulającą o życie jego, i to szamotanie się z nim, aby wydrzeć koniecznie i zniszczyć broń zabójczą. Jak on z Lily stanął od razu na stopie serdecznej, poufałej, gdy przeciwnie Anna była dla niego do końca zimną, niedocieczoną, mimo iż niósł jej tak gorącą miłość w ofierze!

— Paniczu! — przemówił nagle Arnold, który tymczasem kręcił się po pokoju, jak mucha uprzykrzona, wybuchając wreszcie niecierpliwością, gdy widział, że na niego Paweł bynajmniej uwagi nie zwraca. — Paniczu! — powtórzył. — Zdaje mi się, iż list już po raz szósty odczytany!

— Dobrze! dobrze! — odrzucił Paweł z roztargnieniem. — Idź spać, nie potrzebuję cię więcej. Pragnę właśnie sam pozostać.

Arnold, jak wiemy od dawna, odznaczał się wśród rzeszy służebnej tą właściwością, iż każdy rozkaz otrzymany brał na odwrót. Skoro panicz chce, żeby spać poszedł, zostanie choćby przez noc całą! Skoro pragnie samotności, zabawi go miłą pogadanką.

— Ej! co tam spanie! — machnął ręką pogardliwie. — Jabym oto chciał się dowiedzieć, kiedy będą pańskie zaręczyny?

Młody człowiek spojrzał na pytającego, z czołem groźnie zmarszczonem.

— Wiesz przecie, żem ci zakazał raz na zawsze, mięszać się w to, co do ciebie nie należy!

— Wolno paniczowi zakazywać — stary smętnie głową pokiwał — a ja, choć nie wiem dla czego zaufanie pańskie utraciłem, będę się dalej wszystkiem interesował. We Włoszech bywało, nie uważał panicz co prawda, na moje prośby i perswazje, ale przynajmniej zwierzał się przedemną i niczego nie ukrywał. Tu zaś daremnie łamię sobie głowę przez całą zimę, jednak domyśleć się nie mogę, co to za nowa moda, żeby pisywać do siebie co drugi dzień, a o milę drogi nie odwidzieć ani razu jaśnie pani prezydentowej!

Paweł nie uznał za potrzebne wtajemniczać starego, z kim właściwie koresponduje. Zaledwie słyszał zresztą jakiś szmer natrętny koło ucha, gdyż znowu, po raz siódmy z rzędu, zaczął od początku list wertować. Arnold tą nieufnością i lekceważeniem doprowadzony do rozpaczy, postanowił zaczepić panicza z innej beczki; rzucił więc od niechcenia:

— Byłem dziś przed południem w Rosenberg.

To poskutkowało Paweł zbudził się nagle z zadumy, i zerwał się na równe nogi.

— A tyś się skąd wziął w Rosenberg? Czy po to, żeby mnię tam szpiegować?!

— Paniczu, proszę starego, wiernego sługę tak nie obrażać! — Arnold przybrał ton płaczliwy i minę człowieka srodze pokrzywdzonego.—Przechodziłem przypadkiem po pod parkan, i tak się zdarzyło, że właśnie w bramie stał ogrodnik, którego również, całkiem przypadkowo, poznałem niedawno.

Ten długi szereg wypadków nadzwyczajnych, był jednak nader logicznie powiązany. Stary Arnold, był co prawda, wielkim arystokratą, i nader przebierającym w zawieraniu nowych znajomości. W Felseneck zawiązał li bliższe stosunki z marszałkiem dworu i kamerdynerem ordynata, tym razem atoli ciekawość wzięła górę nad zasadami. Był najmocniej przekonany, iż młody pan jego, bywa cichaczem w Rosenberg, a o zaręczynach dla tego tylko nie wspomina, iż zamek Werdenfels żyje w nieprzyjaźni z proboszczem miejscowym. Aby dowiedzieć się o tem coś stanowczego, spuścił z tonu i wszedł w bliższe stosunki z ogrodnikiem Ignacym, dotąd jednak bezskutecznie.

— Jaśnie pani nie było w domu — opowiadał stary dalej — i tej jakiejś rezydentki także nie widziałem. Tylko mała uganiała po ogródku.

— Jaka mała? — spytał Paweł.

— A siostra pani prezydentowej, mała Lily. Rzucała kulami ze śniegu do wron i kawek na drzewach, w końcu i nas zaczęła bombardować, gdyśmy chwilkę w bramie rozmawiali, że aż za kark nam się śnieg sypał. No! dzieciakom wiele trzeba przebaczyć.

— Jak śmiesz wyrażać się tak niestosownie o tej młodej damie! — odburknął Paweł rozgniewany. — Panna Wilmut ma przecież skończonych lat szesnaście!

— Doprawdy? Myślałem, że o wiele młodsza! Swawoli bo jeszcze całkiem jak dziecko... Zapewne i podrośnie później trochę.

Paweł nigdy może nie był tak zirytowany wściubstwem starego, jak w tej właśnie chwili, a uwaga, iż Lily róść będzie, do wściekłości go prawie doprowadziła. Rzucił się gwałtownie, i tonem groźnym zażądał: „większego uszanowania dla damy dorosłej, a do tego bliskiej krewnej pani Hertenstein!“ Arnold wybałuszył oczy na niego, zdziwiony niesłychanie.

— Czegoż bo panicz tak się znów złości? — wzruszył ramionami. — Już to Bogiem a prawdą, można się na nerwy rozchorować w tem Werdenfels, gdzie człowiek ani dnia ani godziny życia pewnym nie jest. Ta cała napaść, tyczy się nibyto naszego stryjcia szanownego, ale, jak to mówią: „dla kompanji dał się cygan powiesić!“ Marszałek utrzymuje, iż ta banda łotrowska, gotowa nam dach zapalić nad głową, albo dotąd do zamku szturmować, póki się w gruzy nie rozsypie! Gdybyśmy mogli jak najprędzej zamieszkać w naszem pięknem, spokojnem Buchdorf!

— Nie oddawaj się złudnym nadziejom — wtrącił Paweł, który dziś wyłącznie był w nastroju dziwnie wojennym. — Skoro zaczną się moje rządy w Buchdorf, spokój przepadnie z kretesem! Stanąłem i ja z księdzem Wilmutem na ostrzu miecza, wypowiadając mu walkę zaciętą!

Arnold ręce załamał rozpaczliwie.

— Rany Chrystusowe! Po co też paniczowi naśladować i w tem stryjaszka! Czy nam potrzeba zaraz na początku takich awantur z chłopami?

— Już ja w moim majątku potrafię rozjaśnić cokolwiek ciemne ludu wiejskiego umysły! — Paweł zawołał zapalczywie. — Może nie są tak w przesądach zapleśniali i zakamieniali, jak ci głupcy w Werdenfels! W każdym razie bez wojny się nie obejdzie! Wcześnie zatem gotuj się na nią Arnoldzie, a teraz idź sobie i uwolń mnie nareszcie od twojego gdakania nieznośnego!

Stary tak się przeraził owem wojny zapowiedzeniem, iż wyjątkowo usłuchał dosłownie rozkazu wydanego. Ciężko wzdychając, poszedł opowiedzieć swojemu serdecznemu przyjacielowi, marszałkowi ordynata, że i jego panicz niestety zbzikował na tym punkcie, tak samo jak stryjcio szanowny!

Było już dobrze po północy; w zamku całym cisza głucha i ciemność zapanowała; nawet w oknach Rajmunda światło lampy od dawna zagasło. Paweł, który zwykle cieszył się snem twardym, spokojnym, jakim tylko młodość nieopatrzna spać potrafi, dziś wyłącznie, długo, długo, przewracał się po łóżku, a gdy wreszcie zasnął znużony, trapiły go sny ciężkie, gorączkowe, jęczał i krzyczał, póki nie obudziła go krwi fala, gwałtownie do serca i głowy bijąca. Zerwał się na równe nogi, a oprzytomniawszy cokolwiek, przypomniał sobie, że Lily korespondencja leży nie schowana na biurku w pokoju przyległym. Tak list zostać nie mógł, musiał go zamknąć starannie, aby nie wpadł w ręce ciekawskiego Arnolda, gdy zrana zechce pokój uprzątnąć. Ubrał się na prędce, i poszedł świecy nie zapaliwszy, gdyż księżyc w pełni oba pokoje oświetlał dostatecznie. List znalazł natychmiast, wsunął go do szufladki, i biurko na klucz zamknął. Czując w żyłach dotąd palącą gorączkę, przeszedł się po ciemnym pokoju, i wreszcie, dla lepszej ochłody, do okna przystąpił.

Noc była burzliwa, jak zwykle o tej porze, księżyc to się na chwilę ukazywał, to krył za czarne chmury, wichrem północnym pędzone, osłaniając park cały cieniem nocy, po za którym nic dojrzeć nie można było. Paweł drgnął nagle, gdyż zdawało mu się, że słyszy szelest kroków pod oknami, i że jakaś ludzka istota

skrada się po cichu, trzymając muru, w kierunku apartamentów przez ordynata zamieszkanych.

Mogło to być oka złudzeniem, cieniem od drzewa padającym, szelestem liści lub łodyg suchych, i w innym czasie byłby na to nie zwrócił uwagi. Ostatnie atoli wypadki w Werdenfels, zrobiły go niesłychanie bacznym i podejrzliwym, a z drugiej strony dotąd mu dźwięczał w sercu głos Anny drżący i łzawy: — „Czuwaj nad życiem jego!“ Bez wahania powziął zamiar przekonania się naocznie, co to być może, nie pomyślawszy nawet o wezwaniu kogo więcej na pomoc. Zarzucił płaszcz i czapkę wcisnął na uszy, rewolwer nabity zdjął z nad łóżka, i nieustraszony wyszedł na palcach schodami bocznemi, które dla służby były przeznaczone, i tylko z przedpokoju Arnold takowe na klucz zamykał.

Na dworze, prócz ryku burzy, nic nie słyszał, niczego nie mógł dopatrzeć. Nie dał jednak za wygranę, tylko zaczął i on skradać się cichuteńko po pod sam mur, cień rzucający daleko, tak, że światło księżyca przebić go nie mogło, a wicher unosił lekki szelest kroków.

Okna z sypialni Rajmunda wychodziły na ogród, a w środku pokoju były drzwi na rodzaj balkonu, a raczej obszernej terasy, otoczonej delikatną kratą żelazną i obsadzonej w około pnącemi się roślinami, różami szpalerowemi, i innemi plantami zagranicznemi, które na zimę osłaniano gęstemi matami słomianemi, aby od mrozu nie ucierpiały. U dołu nagromadzono suchego liścia i słomy, przykrywając starannie korzenie roślin.

Paweł posunął się ostrożnie pod terasę i stanął jak wryty. Teraz nie było wątpliwości, iż w kącie, pod samym balkonem coś się rusza. Była to ludzka istota, do ziemi przykucznięta, i zajęta jakąś robotą. Więcej nie mógł dopatrzeć przy niepewnym blasku księżycowym i w samym rogu muru. Myślał zrazu, iż to nowy zamach na piękne planty, balkon aż do piętra pierwszego zdobiące, i chciał mimo zakazu wyraźnego Rajmunda, przytrzymać psotnika, gdy nagle błysnęło światełko, i Paweł domyślił się zamiaru straszliwego.

— Zbóju! podpalaczu!—krzyknął rozjuszony, i jedną ręką przytrzymując za kark człowieka z zapałką dotąd płonącą, drugą zdzierał matę i liść suchy nogą zadeptywał. —Po toś więc tu przyszedł nocny puchaczu!— mówił dalej. — Ani się waż ruszyć, bo jak Bóg w niebie, zastrzelę jak psa wściekłego!

Pokazał mu lufkę połyskującą, ale i tego nie było potrzeba. Zbrodniarz, napadnięty z tyłu, z nienacka, tak się widocznie przeraził, iż leżał bez ruchu, tam gdzie go rzuciła silna dłoń Pawła, i tylko jęk cichy zdradzał w nim życie.

Wszystko to trwało chwilę przelotną, czujne ucho Rajmunda dosłyszało jednak gwar jakiś, zerwał się, zapalił świecę, a otwierając drzwi na balkon prowadzące, spytał:

— Co się tam dzieje?

— Podłe, nikczemne łotrostwo! — odpowiedział Paweł głosem drżącym z oburzenia. — Usiłowano zamek podpalić, i najprzód skierować pożar ku pokojom, które ty zamieszkujesz. Przytrzymałem dość wcześnie zbrodniarza. Zwołaj służbę Rajmundzie, ja i mój rewolwer damy sobie tymczasem radę z podpalaczem!

Rajmund dłużej nie pytał, nikogo też nie zawołał. Na prędce coś na siebie narzuciwszy, zbiegł na dół i za chwilę stał obok Pawła.

— Co się stało? Kogoś przytrzymał?

— Zapewne jednego z szajki zbójeckiej, która sobie stałe siedlisko w Werdenfels obrała! Złapałem go na gorącym uczynku, gdy już maty zapałką się dotknął. Za minutę cały balkon byłby stał w płomieniach!

— Wstawaj! — Rajmund zawołał ostro, tonem rozkazującym, do leżącego na ziemi pod grozą rewolweru, którym Paweł prosto w piersi mierzył. — Mów, kto jesteś?

Człowiek tajemniczy poruszył się, chcąc usłuchać rozkazu, co mu jednak trudnem było widocznie. Pomagał sobie obiema rękami, a gdy z mozołą dźwignął się w górę cokolwiek, nie potrzebywał wymieniać nazwiska, gdyż księżyc właśnie z chmur wypłynął i oświetlił dostatecznie nędzną postać, włos siwy i twarz zwiędłą starca.

— Eckfried! — krzyknął Rajmund z przerażeniem w tył się cofając.

— Tak jest, stary Eckfried! — odparł głucho. — A skoroś się pan o tem dowiedział... pozwól mi odejść!

— Bezczelny! To zuchwałość do najwyższego stopnia posunięta! — Paweł na nowo go za kark schwycił. — Myślisz zatem, że i teraz puścimy cię wolno, że ci ujdzie bezkarnie?...

— Cicho Pawle! Nie rób tak wiele hałasu! — przerwał mu ordynat półgłosem, tonem atoli tak stanowczym, iż sprzeciwić mu się było niepodobieństwem. — Sami tę sprawę najprzód roztrząśniemy. Zaprowadź tego człowieka do mojego pokoju.

— Ależ błagam cię Rajmundzie!...

— Idź naprzód Eckfriedzie temi tu schodami! Ty Pawle czuwaj, abym go tam zastał. Przyjdę natychmiast, skoro przekonam się, iż żadne niebezpieczeństwo, więcej zamkowi nie grozi.

Pawłowi wydawało się o wiele praktyczniejszem, zwołać służbę na świadków zbrodni zamierzonej i na przytrzymanie podpalacza. Starzec wydawał się tak zgnębiony i osłabiony, że o ucieczce z jego strony mowy nie było, Paweł zatem pospieszył z wykonaniem stryja rozkazu.

Ordynat zatrzymał się i szybko, ale nie mniej dokładnie, oglądnął w koło całą terasę. Rękę zbrodniczą w czas jeszcze Paweł zatrzymał, nigdzie nie mógł dopatrzeć tlejącej iskierki, nawet nie było czuć w powietrzu spalenizny. Mata zdarta leżała na śniegu mokra zupełnie. W zamku było dalej cicho i ciemno, nikt widocznie nie zauważył, iż coś zaszło w nocy nadzwyczajnego. Łatwo dało się to tem wytłumaczyć, iż służba mieściła się w innem skrzydle, od dziedzińca. Pies łańcuchowy ujadał trochę, ale i on wkrótce się

uspokoił, skoro cisza na nowo zaległa naokoło.

Wrócił zatem i Rajmund do sypialni. Światło kandelabra padało wprost na postać znużoną, przygarbioną, i na twarz bladą, zmiętą, starego Eckfrieda. Stał na środku pokoju, oparty o laskę, a obok niego Paweł bacznie każdy ruch jeńca śledzący.

— A to grzesznik zakamieniały! — zawołał oburzony do wchodzącego Rajmunda. — Słowa jednego nie mogę z niego wydobyć! A jak niezręcznie wziął się do rzeczy! Ogień pod samemi oknami podłożony, musiałby był nawet przez sen nas uderzyć; mur tak gruby, iżby go i kule działowe nie przedziurawiły; najwięcej mógł zniszczyć rośliny pnące się na balkon i popsuć ci z kilka okien. Roztrząsałem mu tu właśnie sumienie, ale milczy na wszystko jak zaklęty!

— Mnie nie odmówi tłumaczenia... Zostaw nas samych Pawle! — odparł z lodowatym spokojem ordynat.

— Ciebie, z tym podpalaczem?... Przenigdy!

— Czegóż się obawiasz? W najgorszym razie nie dał bym się pokonać starcowi i do tego kalece.

— Kto to wie! Może mieć nóż ukryty w zanadrzu, mógłby napaść cię z nienacka, u takich łotrów wszystko jest do przypuszczenia! Przyrzekłem zresztą czuwać nad tobą...

— Przyrzekłeś? Komuż to?

— Pani Hertenstein! Błagała mnie ze łzami, żebym cię na krok nie odstępywał... muszę dotrzymać słowa danego!

Twarz Rajmunda nagle spłonęła i znowu bladość ją powlekła. Pominął milczeniem tę wiadomość i starał się krew zimną odzyskać. Mimo sztucznego spokoju, głos drżący zdradzał wzburzenie wewnętrzne, gdy odpowiedział:

— Nie troszcz się o mnie wcale! Rozmowa z tym człowiekiem, nie grozi mi najmniejszem niebezpieczeństwem, tylko... nie mogę jej prowadzić przy świadkach. Zostań zresztą obok w pokoju przyległym... na to chętnie przystanę.

— Ależ on cię nienawidzi z taką wściekłością i zaciętością, iż raz spotkawszy go przypadkiem, byłem przekonany, iż mam do czynienia z warjatem, tak zaczął miotać się i złorzeczyć, nazwisko twoje z ust moich usłyszawszy!

— Wiem o tem, i dla tego muszę z nim mówić sam na sam. Proszę cię raz jeszcze, odejdź.

Eckfried nie mógł złapać ani słowa z cichej baronów rozmowy. Paweł, choć niechętnie, usunął się wreszcie, drzwi przymykając tylko za sobą, aby mógł wpaść każdej chwili na ratunek, gdyby tego zaszła potrzeba.

Rajmund zwrócił się teraz do starca, który stał na jednem miejscu jakby martwy i nie czuły na wszystko, pytając zwolna i z naciskiem:

— Cóżeś chciał uczynić Eckfriedzie?

Zapytany podniósł głowę. W twarzy nie było ani lęku przed karą, ani żalu, iż zbrodni się dopuścił, tylko wyraz złości i uporu niezłomnego, i tym samym tonem zuchwałym przemówił do ordynata:

— Przecież pan baron sam widział najlepiej. Zaprzeć się nie mogę, i... nie chcę!

— Odpowiedź godna ciebie. Mój bratanek atoli słusznie zauważył, iż po głupiemu wziąłeś się do rzeczy. To jedno cię tłumaczy, iż chciałeś najprzód mnie puścić z dymem. Któż miał właściwie paść ofiarą zbrodni twojej: ja, czy zamek?

— I pan i zamek!

Słów tych było nie wiele, czuło się w nich jednak niby syk złowrogi gadziny jadowitej, czuło chęć zemsty srogiej i nienasyconej!

Rajmund milczał, wzrokiem tylko surowym, ponurym, mierzył starca, który powtórzył z widocznem zadowoleniem jeszcze dobitniej:

— Tak, tak! zamek miał zapłacić za wieś naszą, a pan za mojego jedynaka najdroższego! Tak byłoby sprawiedliwie i tego pragnąłem. Jestem w pańskiej mocy, możesz mnie oddać w ręce sądu, wsadzić do kryminału, myślę jednak, iż dasz sobie z tem pokój, bo w takim razie zacznę ja gadać i wszyscy poruszą się w Werdenfels, a to by przecie nie było przyjemnie dla jaśnie wielmożnego pana barona, gdyby i jego na jednej ławie ze mną posadzono!

— Starcze! — krzyknął ordynat i rzucił się naprzód z pięścią groźnie podniesioną, z wzrokiem piorunującym. Mimo całej buty i zuchwałości, wieśniak o krok się cofnął.

— Uderz pan tylko! — rzekł głucho. — Oddaj mi wet za wet!... tem lepiej dla mnie, im prędzej skończy się ten mój nędzny żywot!

Słowa te ostudziły gniew wściekły Rajmunda i przywiodły do opamiętania. Pięść kurczowo ściśnięta, opadła bezwładnie, pierś gwałtownie falowała; widocznem było, iż stara się nad sobą zapanować.

— Dla czegoż nędzę znosisz? — spytał wreszcie głosem przyciszonym. — Czyż nie ofiarowałem ci pomocy aż nadto wystarczającej? Niczego przyjąć nie chciałeś!...

— I nigdy nie przyjmę! Raczej zginę śmiercią głodową wraz z moim wnukiem!

— Wierzę. Jesteś zdolnym i do tego! Wtedy odpowiedziałeś mi, porywając strzelbę ze ściany i byłbyś za cyngiel pociągnął, gdybym się nie był usunął, chcąc ci oszczędzić zbrodni bezużytecznej. Dziś o mało mnie życia nie pozbawiłeś, bo jeżeli plan się nie powiódł, to pewno nie z twojej winy.

— Nie! — stary odrzucił wyzywająco. — Nie mogło mi się jednak udać... powinien bym to był naprzód obliczyć. Nie chciałem drugim wierzyć, żeś pan „nietykalny“, dziś przekonałem się naocznie! Ani kamień, ani kula, ani płomienie nawet, pana się nie imają! Zabezpieczyłeś się dostatecznie od wszystkiego!

Rajmund wzruszył pogardliwie ramionami.

— Dotąd więc pokutuje między wami ten zabobon bezsensny?... Któż to wam powiedział, żem czarownikiem, który djabłu duszę zapisał? Czy może wasz proboszcz?

Oczy Eckfrieda błysnęły złowrogo ogniem zielonkowatym, jak ślepie drapieżnika, i rzekł sucho, wpatrując się przenikliwie w ordynata:

— Nikt nam tego nie powiedział, ale i tak wiemy, dla czego ksiądz proboszcz odmówił panu baronowi absolucji i nie dał świętej komunji! Już zresztą doświadczyliśmy na nowo, co to znaczy mieć pana w bliskości. Spadłeś nam na kark, wśród burzy i śnieżnej zamieci, jakby sam twój mistrz i opiekun, a od dnia tego otworzyły się śluzy piekielne, i wszelkie zło gnieździ się w nieszczęśliwem Werdenfels! Śniegi, wichry, głód, choroby i nędza wszelaka, która póty się nie skończy, póki się pana z zamku nie pozbędziemy!... O tem także wiemy doskonale. Nie pytam się, co mnie pan zeszlesz za nieszczęście tej nocy... nie mam już nic do stracenia! Ale chciałem z duszy pomódz wsi całej, i wszyscy byliby mi wdzięczni za przysługę, żaden byłby mnie nie wydał! Ot, nasz ksiądz proboszcz... no, może by mi i naznaczył większą pokutę, ale przecie by mnie rozgrzeszył i ciała Bożego nie odmówił! Ileż razy sam to powiedział: „Wszelkie zło i nieszczęście, pochodzi od tego tam bezbożnika z Felseneck!“

Głos starca zrazu cichy i stłumiony, brzmiał coraz głośniej, w miarę jak rósł zapał jego. — Słowa płynęły mu z ust drżących dziko, namiętnie, a z ócz burych iskry sypać się zdawały. Był to szał fanatyka, dyszącego zemstą, oddanego ciemnym zabobonom, do którego daremnie byłoby przemawiać w imię rozumu — który jeden tylko widzi cel przed sobą: unicestwienie wroga, poczytując zbrodnię w tym przypadku za czyn bohaterski!

— Do tego więc Wilmut parafian swoich doprowadził! — roześmiał się gorzko ordynat. — I ja mogłem marzyć o zgodzie z tym człowiekiem!... Ale dość już tego!... aż nadto nawet!

Wyprostował się dumnie, rysy przybrały wyraz zimny, nieugięty, a w słowach przebijał ton energiczny pana i władcy samodzielnego:

— Słuchaj mnie starcze z uwagą, abyś mógł wszystko, słowo w słowo, powtórzyć twoim kompanom. Powtarzam ci, iż mam już dosyć tych łotrostw i bezczelnych napaści! Przybyłem z Felseneck, aby żyć w zgodzie z wami. Wyście za całą odpowiedź wojnę mi wypowiedzieli, i żeby to choć wojnę otwartą, uczciwą! Napadacie atoli na mnie w nocy, nikczemnie, zdradziecko, zaczęliście od niszczenia mojego parku, mojego majątku, teraz, ile się zdaje, wasz proboszcz ogłosił mnię wyjętym z pod praw wszelkich, może by to nawet uważał za zasługę, gdyby się wam udało uprzątnąć mu z drogi człowieka nienawistnego! Wyczerpała się wreszcie i moja cierpliwość! Od dnia dzisiejszego, ktokolwiek śmiałby się targnąć na coś, choćby najdrobniejsze drzewo, krzew, źwierze do mnie należące, będzie wyśledzony i oddany w ręce sprawiedliwości. Skoro dobroć moja i wybaczliwość wydawała wam się nikczemną słabością i tchórzostwem, czas więc, żeby nad wami zaciężyła karząca i karcąca dziką swawolę ręka pana waszego! Strzeżcie się naruszyć moją własność, lub targnąć się na moją osobę! Będę odtąd nieubłaganym! Nie oszczędzę nikogo!... rozumiesz mnie? nikogo, choćby samego waszego proboszcza! Zmuszacie mnie, aby nazwisko Werdenfels'ów w dawnej grozie wam się przypomniało, a więc dobrze! Doświadczycie wkrótce, co znaczy dłoń żelazna pana na Werdenfelsie! Może też razem z bojaźnią odzyskacie i rozum utracony!

Straszliwa groźba mieściła się istotnie w tych słowach i w wzroku ponurym ordynata, doprowadzonego wreszcie do ostateczności. Musiał i Eckfried odczuć grozę tej obietnicy, bo na razie nie znalazł odpowiedzi. Oczy błędne wlepił w mówiącego, jakby nie obejmował myślą i nie rozumiał o co idzie. Ton surowy pana samowładnego, zaimponował mu najwidoczniej. Twarz wyrażała wprawdzie nienawiść i chęć zemsty nienasyconą, wmięszał się atoli do uczuć poprzednich lęk dziecinny i zabobonny.

— Cały ojciec! — mruknął z cicha, sam do siebie. —Po raz pierwszy w życiu podobny do tamtego, jakby mu z oka wypadł!

— Zrozumiałeś? — spytał szorstko Rajmund, po chwili głuchego milczenia.

Stary otrząsnął się z przerażenia.

— O doskonale! I nie omieszkam dosłownie całej wsi tego obwieścić. Niech się jaśnie pan baron o to bynajmniej nie troszczy.

Zwrócił się ku drzwiom, tak jednak był osłabiony, czy rzuceniem o ziemię ręką Pawła, czy nagłem wzruszeniem, iż zachwiał się, zatoczył jak pjany i musiał znowu schwytać się poręczy od wysokiego fotelu gotyckiego, żeby nie upaść na posadzkę. W świetle niepewnem i migającem świec w kandelabrze, twarz jego zwiędła i bruzdami głębokiemi poorana, wyrażała taką boleść, taką rozpacz bezgraniczną, iż Rajmund mimowolnie odezwał się tonem łagodniejszym:

— Nie oddam cię w ręce sądu, i bratanka mojego poproszę, żeby pokrył milczeniem zbrodnię, której chciałeś się tej nocy dopuścić. Choćby nawet spotrzeżono ślady ognia na werandzie, nikt się nie domyśli, czyja ręka iskrę pierwszą cisnęła. Wyrównany zatem nasz dawny rachunek. Puszczam cię wolno, i sądzę, iż to powinno wystarczyć twojej zemście i nienawiści. Skwitowaliśmy się nawzajem!

— Tak pan myślisz?! — stary wybuchnął śmiechem iście szatańskim.—No! jeżeli pan się ze mną skwitowałeś, to z mojej strony zostaje jeszcze długi rachunek, panie baronie Werdenfels! Oddaj mi wprzód mojego syna żywego, mojego jedynaka! Możeś pan nie zapomniał, iż wyciągnięto mojego Tony z czaszką roztrzaskaną z pod belek płonących. Jeżeli potrafisz to, żebym go znowu całego i zdrowego przycisnął do łona, wtedy skwitujemy się dopiero!... Prędzej nigdy!... Na to sobie i panu przysięgam!

Jakby syna przypomnienie nowych sił mu dodało, porwał się z miejsca, i tym razem kulejąc i stękając ciężko, wyszedł jednak z pokoju

W chwilę później Paweł drzwi po cichu odchylił i wetknął głowę do sypialni.

— Puściłeś go istotnie Rajmundzie? — spytał tonem srogiej wymówki. — Przyznam się, iż podobna wspaniałomyślność wydaje mi wielce niewczesną!

Rajmund wzrok utkwił w drzwi, któremi oddalił się Eckfried. W oczach jego malowała się ta sama zaduma ponura i zagadkowa, w której był utonął wtedy, stojąc w Felseneck, przed płonącym kominkiem.

— Zostaw mnie sąd o tem Pawle! — rzekł cicho. — Ten człowiek zasłużył, żebym go oszczędzał, ale tylko on jeden! Słyszałeś zapewne po części naszą rozmowę! Daję ci słowo honoru, iż tym łotrom, którym się zdaje, że wszystkiego wolno im się względem mnie dopuścić odpowiem niedługo i dosadnie! Nienawidzili ojca mojego, tak samo jak mnie dziś nienawidzą, że go się jednak bali, wszyscy korzyli się i pozwalali mu deptać po sobie w poddaństwie niewolniczem. Łudziłem się, iż wskóram co dobrocią z tym dzikim motłochem. Skoro wszystko okazało się nadaremne, ha! toć i ja potrafię sobie przypomnieć, że pochodzę z rodu Werdenfelsów!

Paweł godził się na to całą duszą, i jemu atoli w tej chwili przyszła na myśl ta sama uwaga, którą Eckfried wygłosił na odchodnem. Jakkolwiek usposobieniem różnił się Rajmund z ojcem najzupełniej, obecnie nadzwyczaj portret nieboszczyka przypominał. Ta sama groza, ta sama srogość nieubłagana, odbiła się w rysach i w wzroku płomienistym.... był potomkiem nieodrodnym tyrańskich władców, panów na Werdenfelsie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

JULIUSZ DONNÉ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Już rok upłynął od ślubu Juliusza, a pan Donné nie przestawał się cieszyć swem dziełem. W przekonaniu jego, Juliusz szczęśliwym być powinien, bo miał żonę ładną, wesołą, uroczą, która dbając o wygody męża, uwzględniała jego gusta, starając się ozdobić ich mieszkanko wszystkiem, co Juliuszowi najmilszem być mogło.

Juliusz zaś milczący i cichy, zdawał się jedynie używać tego błogiego spokoju, jaki go otaczał, a ci, co nie przenikali tajników jego duszy, myśleli iż w skupieniu ducha poi się szczęściem, które boi się spłoszyć nawet lada szmerem. Pan Donné, patrząc też na to tak czułe pozornie małżeństwo, o biednej Zuzannie Valmor, którą ofiarą swych planów uczynił, nawet nie pomyślał, i jedno też jedyne miał zmartwienie, to, że wnuka doczekać się nie mógł. — Przybycie na świat dzieciątka, tak zbawienny także wpływ by było wywarło na pomnożenie zajęć Berty, przepędzającej większą część dnia w samotności, gdyż Juliusz nie odrywał się od pracy. Lecz na samotność tę nie skarżyła się Berta nigdy; uważała za naturalne, iż mąż oddaje się swemu zawodowi, a o przywiązaniu jego przecież nigdy nie wątpiła; — powiedzieć też tu można: „*que tout etait pour le mieux, dans le meileur des mondes.*“

Upały letnie zaczynały dokuczać mieszkańcom miasta, sierpień się już zbliżał i pan Donné z swemi dziećmi wyjechał do Normandji, gdzie w pięknej, nadmorskiej willi, postanowił przepędzić miesiąc cały. W tej nowej i uroczej okolicy, Juliusz zdawał się odżywać, jakaś harmonja zaczynała się tworzyć między jego najtajniejszemi uczuciami i wrażeniami, przychodzącemi z zewnątrz. Horyzont bez granic, otwierający się przed jego oczyma, pociągał myśl w nieskończoność, nie pozwalając jej powracać do swoich cierpień, a w rytmicznym lecz łagodnym odgłosie fal, zdawał się czytać nieodwołalne wyroki przeznaczenia, na które jego serce krajało się z bolu, lecz z rezygnacją i spokojem znosić musiało. Przestrzeń ta, okiem niezmierzona, dziwny i nowy wpływ nań wywierała; czerpał w niej otuchę i odwagę, dziwiąc się tylko czasem tej nie wytłumaczonej roskoszy, jaką doznawał pojąc się najprzykrzejszemi wspomnieniami. Ten wpływ magiczny, jaki morze nań wywierało, sprawiał, że od rana do nocy Juliusz przesiadywał na jego wybrzeżu, nic nie robiąc, jedynie pojąc się tym nieokreślonym spokojem, którego łaknął. Co rana kładł się też nad jakąś przepaścią, tak by tylko morze i niebo mógł oglądać, i wtedy bliskim się czuł śmierci, pragnął jej, zdawało mu się, że może przemienić się w lekką chmurkę, zniknąć, rozwiać się, i w tak łatwy sposób rozstać się z życiem, które zbyt mu ciężyło. Te same marzenia, o tej samej porze powtarzały się co dzień. Nie raz też Berta i ojciec, zdziwieni jego długą nieobecnością, wychodzili niespokojni szukać go nad brzeg morza, a gdy spostrzegli zdaleka, wstrzymywali się w pół drogi, z obawy, by budząc się raptownie, nie poruszył się zbyt prędko, co nie wątpliwie życiem mógłby przepłacić.

W tym trybie życia powoli nerwy jego uspokajać cię zaczynały, wszystkie rany goić i zasklepiać. Ta urocza przyroda, ten spokój zupełny, niezamącony, jakim tchnęło wszystko w około, to niebo lazurowe, bez chmurki, w końcu ta przestrzeń bez granic, nieskończona, wszystko to działało na tę naturę gorącą i wrażliwą, i koiło smutki i bole.

Powoli Juliusz zaczynał się godzić z życiem. Wszystkie jego namiętności wzburzone, pod wpływem tej natury ukołysane, pozwalały mu spokojniej myśleć o przyszłości. Myśl tylko rozstania z tem najmilszem wybrzeżem, powiernikiem jego zwierzeń najskrytszych, przybierała u niego formy prawdziwej rozpaczy. Dzień i noc czasem przepędził na brzegu morza, w tej błogiej ekstazie prawdziwego kochanka, nie mogącego rozstać się z najmilszą na świecie istotą. Czuł że nic, nic zupełnie, dopowiedzieć już jej nie miał, siedział tylko u jej stóp milczący, z roskoszą w sercu, że jest jeszcze

przy niej, i z bolem i rozpaczą, że jutro będzie już daleko!

Myśl, że jego bole, smutki, znowu dawną przybiorą formę, że powróci w to miejsce, w którem tyle cierpiał, była by go niemal zamęczyła, gdyby nie siła i poczucie obowiązku, jaki ma spełnić dla świata, które zyskał tu w tej błogosławionej Normandji! Czyż nie miał w końcu ojca, żony, którzy go kochali i dla których żyć przecie był powinien? Postanowił też być silnym i nadal wytrwalszym!

Ostatniego wieczora, który tam już spędzić mieli, powrócił Juliusz późno do domu. We wszystkich oknach było ciemno, gdyż prosił by nań nie czekano, bo chce na pożegnanie długi zrobić spacer. Rzeczywiście też, gdy wchodził do siebie, zegar uderzał dwunastą. Poczta nadzwyczaj obfita w listy leżała na stole.

Z obojętnością, z jaką teraz wszystko przyjmował, co wiadomości od ludzi i świata przynosić mu mogło, zbliżył się do biurka, brał list po liście, odkładając je nie czytane na bok, aż w końcu kartka pośmiertna zwróciła jego uwagę. Otworzył ją i bezprzytomny padł na stojące w pobliżu krzesło! Zdawało się, że w tej chwili szalonej rozpaczy, życie zeń uleci, bo przeżyć nie będzie wstanie strasznej wiadomości!... — Pani Valmor już nieżyła! W krótkiej i utartej formułce, donosiła to otrzymana kartka!

Dawna miłość z zdwojoną odrosła siłą! Wyobrażał ją sobie naprzemian uroczą i dumną jak zwykle, zagniewaną za niesłuszne zarzuty, jakie jej czynił... to znów bladą i martwą, leżącą na katafalku, a później, później... wsuwaną grób w zimny!

Nigdy już jej nie będzie mógł widzieć i wybłagać przebaczenia za popełnione winy!

Te i tym podobne snuły mu się myśli, gdy oparłszy głowę na ręku, zachodził się od płaczu jak dziecko. Cały pogrążony w swej boleści, nie zauważył nawet, że list z obwódką czarną, tą samą był zaadresowany ręką. Rozdarł w końcu kopertę, przeczytał podpis, i przekonał się, że pochodzi od matki Zuzanny.

W kilku rozdzierających wyrazach donosiła mu, że Zuzanna tknięta zapaleniem mózgu, straciwszy odrazu przytomność, w przeciągu trzech dni życie skończyła. Pomiędzy zaś papierami i listami pozostałemi po niej, znalazła jej matka książkę, którą przysyła, na wierzchu której napisane były te słowa:

„Książka ta jest własnością pana Juliusza Donné. Proszę by po mej śmierci mu odesłaną była.“

Juliusz z uszanowaniem, jak świętość jaką, wziął ją do ręki i z rozrzewnieniem ujrzał, że dziennik Zuzanny zawierała. Zaczynał on się z dniem ich poznania, kończył w epoce ślubu jego. Początek brzmiał jak następuje:

„Że serce moje i myśl moja, w dzień i w nocy, w każdej chwili i godzinie, jest przy tobie, mój najukochańszy Juliuszu, to zadowolnić mnie w zupełności nie może. Nie mogąc ci osobiście powiedzieć co czuję, co się dzieje w mem sercu, używam pośrednictwa tego najcierpliwszego powiernika, by wynurzyć przed nim wszystkie marzenia najczystsze, najświętsze, mojej dozgonnej dla ciebie miłości.

„Jeśli nam Bóg dopomoże i przywiązanie nasze wynadgrodzi ślubem małżeńskim, wtedy dam ci tysiączne dowody prawdziwej miłości, a oddając ci w ręce całą przyszłość moją, i przeszłość, która wyłącznie do ciebie należała, złożę ci w ofierze!

„Gdybym jednak przed tobą umarła to, ta książka oddaną ci będzie przez moją matkę, jak ją o to proszę na pierwszej kartce, by osłodzić ci mą nieobecność zapewnieniem, że umiałam cię kochać, łącząc z życiem uczciwem i bez skazy, przywiązanie wyłączne i jedyne!“

Pewność, że był kochanym, w nowy szał i nową rozpacz go wprowadzała. Teraz dopiero przekonał się, że nie daremnie żył tak długo przekonaniem, że posiada całą jej duszę! — Lecz dlaczegoż później odtrąciła go znowu? Dlaczegoż sama sobie przeczyć się zdawała?

Chęć rozwiązania tej zagadki sprawiała, że z gorączkowym pośpiechem przerzucał kartkę po kartce, a z oczu jego palące łzy padały na książkę. Każdy nowy dowód przywiązania, siłę mu i otuchę dodawał, i zapominając chwilowo o jej śmierci, cieszył się tak, jakoby ją znowu odzyskał. Koniec dopiero dziennika miał wyjaśnić prawdziwy powód dalszego jej postępowania. Brzmiał on jak następuje:

„Nikt nie wie jak ja cierpiałam, nim zdołałam zwalczyć me biedne serce, w chwili, gdy pan Donné przyszedł prosić, bym odepchnęła Juliusza!“

„Gdyby życia mego był żądał w daninie, łatwiej oddać bym mu je mogła. Takie jednak poświęcenie przechodziło me siły! Czyż wiedział, jak Juliusz mi jest drogim? Czy przypuszczał, wiele mnie to kosztować będzie?... niewiem, ale widocznie miłość ojcowska równie despotyczna jak inne!...“

„W końcu ofiara dopełniona — pisała znowu dalej — kielich goryczy nadpoczęty! Czyż jesteś o Boże zadowolony z całopalenia złożonego ci w ofierze? Czy moja ofiara dość wielka, by się w twych oczach liczyć mogła? Inaczej postąpić nie mogłam. Mówić z nim o przyszłości, żądać by się nad nią zastanowił, było nadaremnem. Powiedzieć mu o całej rozmowie z ojcem, nie można było bez wzbudzenia między ojcem i synem wiecznej nieufności i niezgody. Wybrałam więc jedyną najlepszą drogę, i dopełniłam obowiązku, którego po mnie żądano.“

„Juliusz w ten sposób najłatwiej o mnie zapomni i może kiedyś jeszcze... będzie szczęśliwym!! A ja?... cóż ze mną będzie?... Może on nie uwierzy! może w tem wyznaniu kłamstwa dopatrzy, a gdy zostanie mi wiernym, doczekamy się dnia, w którym łzy i bole będą zapomniane, a chwila szczęścia zabłyśnie!“

. . . .

„Dziś odebrałam list od Juliusza. Obwinia mnie, o niewdzięczność posądza. Jakżeż błogiemi są mi te jego wymówki, jak z każdego jego słowa tchnie gorąca

miłość! Chciałam mu odpisać, tysiąc razy brałam pióro do ręki, lecz po cóż? Czuje przecież, że moje postanowienie jest nieodwołalnem, że wyrok zapadł, przed którym pochyliwszy głowę, trzeba cicho i milcząco, z rezygnacją poddać się przeznaczeniu. Czuję cały ogrom bolu, jaki mi to sprawia, domyślam się co przechodzi Juliusz, lecz jako wszechwładnemu panu, pozwalam działać, gdyby mi nawet ostatnią kroplę krwi wysączyć przyszło!"

. . . .

„Od dziś wszystko skończone! Juliusz po ślubie z inną, to tak jakby w grobie! Przysięgam ci też tu wobec Boga, że nigdy, nigdy niczem nie przypomnę się twej pamięci, nie chcąc stawać w twej myśli pomiędzy tobą a żoną, którąś pojąłeś! Mój heroizm przeszedł widocznie w hipokryzję, bo dając mą głowę pod gilotynę, chciałam by mnie ktoś z pod niej uwolnił! Tyś się tego nie domyślił! nie odgadłeś, że do ciebie wyciągam ręce z tęsknotą! Przynajmniej mój jedyny, ukochany, przyznaj, że kochać cię umiałam!"

„A teraz powierniku mych cierpień, rola twa skończona! Cóż jeszcze powiedzieć bym ci mogła? Nic, nic mi nie pozostaje, jak cię zniszczyć, byś nie zdradził tajemnicy, która powinna pójść za mną do grobu! Lecz czy śmierć przyjdzie tak na zawołanie? O, nie! cierpienia takie nie zabijają, przeciwnie, życie zdaje się przykuwać do istot, które cierpią!"

„Teraz dopiero widzę, że wszystko to, w czem wpierw roskosz piłam: w kwiatku, słońcu, które nas ogrzewa, w całej naturze pięknej i uroczej, wszędzie jego widziałam. Myśl o nim, nadzieja nieokreślona umilała mi krok każdy, i upiększała życie! Teraz, teraz... cóż mi zostało? Przysunęłam książkę do ognia, lecz nie miałam siły jej spalić. Tyle mi tylko zostało, z tej jak sen minionej przeszłości, czyż mi już i tego zachować nie wolno? Śmierć przecież nie przyjdzie tak nagle, bym nie miała czasu cię zniszczyć, a tymczasem, oczekując tej upragnionej chwili, zaglądać będę do ciebie, by poić się wspomnieniem, które do ostatniego nie opuści mnie tchnienia!!"

. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

Z łatwością można się było domyśleć, iż pobyt w zakładzie uważa jako chwilowy punkt oparcia, jako przystanek, zanim zdoła pchnąć łódź swoją na pełne morze. Jasna blondynka, kształtów trochę nadto zaokrąglonych, ubóstwiana przez panny starsze, które inaczej nie nazywały Blanki, tylko „księżniczką lazurową," z powodu, iż tak elewką, jak i później damą honorową, nie rozłączała się nigdy z medaljonem niebiesko emaljowanym, zawieszonym na niebieskiej aksamitce. I ona także zwierzała się chętnie owym starszym, jak świetny los czeka córkę komendanta d'Aligny, i jak jej się te świetności z prawa należą. Książęta krwi i miljony bankierów, grały w „cztery kąty" w tych gawędkach poufnych, a młode dziewczęta połykały chciwie każde słowo, z okiem płomienistem, z ustami drgającemi, z sercem bijącem, z gorączką namiętną, jak po śnie roskosznym.

Po czterech latach takiej edukacji, Kasia umiała haftować na kanwie, szyć po trochę, grać nieźle ballady i nokturny Chopin'a, rysowała z natury wyraziste głowy Tambour-Majorów, a przedewszystkiem wiedziała doskonale, po ilu dniach córka Legjonisty może kapitulować, gdy u jej stopek hołd złoży książe krwi, lub (co lepsze częstokroć) książe z łaski giełdy.

Resztę nauki traktowała z pewną dystyngowaną i wielce arystokratyczną nonszalancją, którą matka sercem całem popierała. W dniach rekreacyjnych siadała w oknie od ulicy, w jednym pokoiku, stanowiącym z niszą wąziutką i kuchenką ciemną od dziedzińca, mieszkanie całe pani Vauquelin, siadała tedy, a raczej kładła się w dużym fotelu, z rękami leniwie opadającemi, z wzrokiem przyćmionym i rozmarzonym. Matka nie byłaby jej pozwoliła tknąć się igły, naparstka, a tem mniej przestąpić próg kuchni ciasnej i zwykle pełnej dymu i swędu. Ostatnia nadzieja rodu Vauquelin'ów, nie mogła zniżać się do pracy i zatrudnień tak pospolitych.

To też Kasia przybierała w pokoiku, przy ulicy Mazarin, pozy naiwnie omdlewające. To jak kotka w kłębuszek się zwijała, to wyciągała się poziewując wzdłuż szezlongu, obitego starożytną tkaniną włosienną, z główką zwróconą ku oknu, niby słonecznik, za promieniem słońca goniący.

Te minki i maniery zaczarowanej królewny, drażniły srodze parę szanowną Vaquelin'ów-Vaucher, jeżeli kiedy zebrali się na odwidzenie wdowy po starszym bracie. Stryj wiecznie skrzywiony, i jak mumia zasuszony na twardem krześle kancelisty, z przekonaniem głębokiem a boleśnem, że go z tego krzesła, i od tego biura, żaden awans nie wyruguje, zaczynał wiecznie na jedną nutę, od cierpich narzekań: „Na nieudolność, zaślepienie i przedajność ludzi u steru zasiadających," nie żałując bynajmniej tym wybrańcom losu, obelg najdosadniejszych. Gniew jego przechodził często w ton zjadliwej ironji. Wtedy ubolewał nad rządem, nie umiejącym ocenić i wyszukać prawdziwej zasługi.

— Pustkę robią samochcąc, pustkę w około! — powtarzał uroczyście głosem grobowym. — Sieją niedołężnością swoją rewolucje, kopią przepaść bezdenną pod stopami, która musi ich prędzej czy później pochłonąć!

Pięść sucha biednego skrybenta, uderzała z całej siły w poręcz fotelu, a wzrok ponury, wlepiony w posadzkę, zdawał się w niej szukać owej przepaści, która ma pożreć jego zwierzchników. Wypowiedziawszy, co mu głównie na sercu ciężyło, rzucał okiem na Kasię,

w pozie niedbałej leżącą na szezlongu, i dodawał tonem żółciowym, opryskliwym:

— Zawsze cię widzę próżnującą, panno Katarzyno!

Na co matka odpowiadała z niecierpliwością i przekąsem:

— Dość się na pensji napracuje! Tutaj ma przecie prawo do odrobiny wypoczynku!

Pan Vauquelin junior wzruszał litościwie ramionami, a tymczasem żona jego, sznurując i tak dość wązkie, bezbarwne usta, pochłaniała z pod oka całą postać Kasi. W tem spojrzeniu z ukradka, z pod spuszczonej powieki, malowało się uczucie zazdrości i podziwienia jednocześnie. Bo też chuda jak tyka pani Vauquelin-Vaucher, musiała zastanawiać się głęboko, uważając to niemal za krzywdę jej osobiście wyrządzoną, jak z dnia na dzień rozkwitają wspaniale kształty ciała u młodej kuzyneczki. Jaka toczystość szyi i ramion! co za okrągłość biustu, rozsadzającego na gwałt wązkie i ciasne staniczki mundurku pensjonarki! Gdy wreszcie raczyła odejść para nudziarzów, matka ciężko odetchnąwszy, przemawiała z czułością niewymowną:

— To cię znowu namęczyli, moje biedne dziecię! No! skończona na jaki miesiąc nasza pańszczyzna!

— Ależ nie nudziłam się wcale mamo! — odpowiadała dziewczyna.

Katarzyna mówiła szczerze to co odczuwała. Skoro kto zwrócił na nią uwagę, z pobudek takich czy siakich, sprawiało to jej pewną przyjemność. Każdy obcy rzut oka, przyjazny czy nieprzyjazny, łechtał ją po sercu roskosznie i dumą napełniał. Daremnie Vauquelin junior, zaostrzał wzrok, niby Parta strzałę zatrutą, gdy wpatrywał się w postać Kasi, ona tak w jego oczach, jak i w spojrzeniu zawistnem chudej stryjenki, czytała osłupienie nad jej zwycięzką pięknością, a przyjmując jako hołd jej należny, uważała to niemal za pieszczotę. O ileż jednak lepiej smakowały Kasi grzecznostki pułkownika Delange. Gdy dawny towarzysz broni jej ojca, usiadł naprzeciw niej, winszując matce, „że dzieciak rośnie tak pięknie, a szybko jak na drożdżach!“ gdy brał jej małe, pulchne rączki w obie dłonie, bijąc figlarnie jednę o drugą i do ust cisnąc namiętnie, Kasia czuła dreszcz roskoszny w ciele, i poddawała się z całą dziecięcą naiwnością niewinnym pieszczotom. Od czasu do czasu, matka, nie wypuszczając z rąk drutów od pończochy, wpatrywała się z zachwytem w jedynaczkę i powtarzała po raz setny frazes sakramentalny:

— Nieprawdaż panie pułkowniku, że moja Kasunia, to jakby z oka wypadła nieboszczykowi Vauquelinowi? — świeć Panie nad jego duszą!

Dnia pewnego młoda dziewczyna dowiedziała się o swojem zupełnem sieroctwie. Mleczarka, wszedłszy rano, zastała panią Vauquelin sztywną i martwą w jednym z kątów kuchennych. Pułkownik Delange podjął się zanieść sierocie osobiście wieść hiobową. Przez kraty parloaru spróbował słów perswazji i pociechy, skoro łez potok zaczynał po trochę osychać. Po matce nic jej nie zostawało. Na stryja wcale liczyć nie może. Musi jeszcze pozostać czas jakiś w Saint-Denis, a gdy wyjdzie, pułkownik postara się o to, aby ją uwolnić raz na zawsze od tyrańskiej stryja opieki i dać jej stanowisko niezależne.

— Jesteś przecie córką mojego druha... kochanego broni towarzysza! Nie zapomniałem o tem, i nigdy nie zapomnę!...

Spytał od niechcenia, pod czyim adresem mógłby do niej pisywać.

Wskazała mu Blankę d'Aligny, która nie odmówi jej pewno tej przyjacielskiej przysługi.

Potrząsł głową miłosiernie i rzekł tonem czułym, niemal ojcowskim:

— Wiem! wiem! Córka tego zucha d'Aligny!.... Znałem go doskonale pod Mostaganem!... Także jeden z moich drogich towarzyszy broni!...

Gdy zakład opuszczała, panna Vauquelin miała wyrobioną wieloletność, była więc wyemancypowaną z pod wszelkiej opieki. Przez jakie pół roku, z niechęcią najwyższą próbowała ciężkiego zawodu nauczycielki w klasach najniższych. Borykała się z uciskającym ją niedostatkiem, nareszcie, nie umiejąc sama przed sobą zdać sobie sprawy, jakim cudem przyszło do tego... została najprzód dłużniczką, a następnie... przyjaciółką od serca pułkownika Delange.

Upadek był nagły, ale tak miękko wyścielony, iż go prawie nie czuła. Pozytywizm tej miłości, aż nadto realnej, był przysłonięty obejściem najdelikatniejszem, brutalności nieuniknione w takim stosunku łagodziła dobroć niewyczerpana, i dogadzanie wszelkim Kasi zachciankom i kaprysom. Pułkownik Delange posiadał w wysokim stopniu tradycję dawnej niezrównanej galanterji francuzkiej. Łączył w sobie, nie bez studjów przygotowawczych, ale na pozór bardzo gładko i z łatwością, dwie role najprzeciwniejsze.

Ręce jego białe, pulchne i wychuchane, umiały w chwilach najdrażliwszych, zręcznie balansować pomiędzy pieszczotami kochanka, a błogosławieństwem ojca. Urządził sobie zresztą tę namiętność ostatnią tak wygodnie, aby nią ukoronować niejako karjerę miłośną. Czekał na wystąpienie z czynnej służby, żeby mógł afiszować się bezkarnie z córką dawnego broni towarzysza. Skandal cały ograniczył się na zerwaniu zupełnem wszelkich stosunków z własną rodziną pana Delange.

Kasia ze swojej strony, przestała bywać w domu stryjostwa. Nie martwiła się tem bynajmniej. Przykro jej tylko było, gdy spotkała się przypadkiem z kuzynkiem Alfredem Guyon, który awansował w banku i obecnie zajmował tamże świetną niemal posadę. Ukłonił jej się wprawdzie, ale mijał spiesząc się, jakby przed nią uciekał. Zatrzymała go, pytając natarczywie:

— Dla czego nie przemówisz do mnie kuzynku?

Oniemiał na chwilę, nagłe wzruszenie oddech mu

w piersi stłumiło, wykrztusił wreszcie cichutko, głosem urywanym:

— Pragniesz kuzynko, o ile mi się zdaje.... żyć z dala od nas wszystkich... Wspomniano mi nawet, iż nie chcesz być poznaną...

— Oh! tych nieznośnych stryjostwa, nie chcę znać istotnie, bo mam od dawna wstręt do obojga... Ale ty kuzynku nigdyś mi się niczem nie naraził, tobie jestem szczerze przychylną.

Spuścił oczy.

— Wdzięczny jestem za względy łaskawe... i gdybyś kiedy usługi mojej potrzebowała kuzynko... chciej tylko rozkazać...

Podała mu rękę, chwycił ją, pocałował na środku ulicy i uciekł czemprędzej, cały zarumieniony. Ona szepnęła:

— Poczciwy, biedny chłopczysko!...

Alfred musiał ją kochać. Wiedziała o tem przez wrodzoną kobietom intuicję. Wszyscy się zresztą w niej kochali. Rozpościerała w około czar, któremu nikt się oprzeć nie zdołał. Gdy pułkownik Delange wyjeżdżał z ładnego mieszkanka na ulicy Lafayette, umyślnie dla Kasi urządzonego, prowadząc ją do teatru, lub spacerując pod ramię po lasku Bulońskim, widziała setki oczu zapatrzonych w jej piękność, wyzywającą niemal, spokojem niewzruszonym. Nieliczne kółko „najserdeczniejszych“, którym pułkownik raczył otworzyć podwoje do raju swojego, okazywało również, nie mogąc złożyć dowodów więcej namacalnych, zachwyt i entuzjazm dla pięknej Kasi, spojrzeniami pełnemi ognia i obietnic. Bywał szczególniej na ulicy Lafayette sekretarz poselstwa angielskiego, sir Ryszard Norton, którego milczenie świadczyło nieraz wymowniej o jego uczuciach niż deklaracje najgorętsze.

Kasia jednak nie myślała bynajmniej o zdradzie wobec pułkownika. Była mu wdzięczną nieskończenie, mimo iż za przysługi od niego dawniej otrzymywane, zapłaciła z lichwą pierwszym puszkiem młodości, pierwszym kwiatem piękności swojej. Nawet tego mu za grzech nie poczytywała, że ją tak haniebnie wykoleił.

Wychowanie zupełnie nie zastosowane do jej ubóstwa, miękkie, denerwujące, na efekt li wyrachowane, przygotowało ją niejako do obecnego położenia. Nie pojmowała egzystencji mozolnej, życia pracy pożytecznej poświęconego. Gdy pułkownik zginął tak nagle na górze Righi, płakała po nim szczerze. Zdawało jej się istotnie, iż traci w nim jednocześnie ojca i kochanka.

Jedyny zarzut, któryby mogła była mu uczynić, że nie starał się zapewnić jej przyszłości na przypadek śmierci, tłumaczył się sam przez się nagłością smutnej katastrofy, przez nikogo nieprzewidzianej. Jej własnością było tylko paradne umeblowanie i klejnoty, którymi, jak to zwykli czynić zakochani staruszkowie, obsypywał hojnie swoje bóstwo, i pragnął je widzieć zawsze wystrojone. Sprzedawszy z tego część znaczną, zamknęła się, unikając zgiełku światowego, jakby wdowa prawdziwa w żałobie pogrążona. Jeden tylko z dawnych przyjaciół pułkownika znalazł ją w ukryciu, samotność dobrowolną przerywając od czasu do czasu. Inni, poinformowani dostatecznie przez dzienniki, wstrzymywali się od wszelkich odwidzin z lekkością czysto francuzką, powodowani do tego krótką pamięcią i samolubstwem prawdziwych sybarytów. Sir Ryszard Norton pragnął jednak z ust własnych Katarzyny usłyszeć bliższe szczegóły tego wypadku przerażającego.

Nie czuła się spłoszoną lub zaniepokojoną wizytami Ryszarda. Był to człowiek czterdziestoletni, rysów pociągłych, o twarzy bladej, z wyrazem dziwnie smętnym. Serdeczny, otwarty, przytem trochę marzyciel, nie miał w sobie nic angielskiego prócz oczu siwych, o spojrzeniu ostrem, przenikającem, któremu lubił wpatrywać się, mówiąc do kogoś, badawczo i wytrwale. Mimo, iż był młodszym o lat tyle, łączyły go z pułkownikiem stosunki przyjaźni jak najściślejszej, był więc wtajemniczony w smutne Kasi położenie. Powoli, powoli, zaczął bywać w jej domu codziennie. Za każdym razem rozmawiali o nieboszczyku z odcieniem przyzwoitego rozrzewnienia, a jeżeli oczy sir Ryszarda nie zawsze licowały ze smutnym przedmiotem rozmowy, wyrażając zupełnie co innego, Kasia nie myślała tem gorszyć się zbytecznie. Nie przedsiębrała nic stanowczego, nie przyciągała, ale też nie odtrącała gościa codziennego, pogrążyła się z roskoszą w próżniactwie lat dziecięcych. Ukołysana doznaną boleścią, niby w wygodnym hamaku, przepuszczała przez małe różowe paluszki, sumkę ze sprzedaży rozmaitych drobiazgów osiągniętą, nie troszcząc się jutrem bynajmniej. Było to u niej lenistwem raczej, niż obojętnością filozoficzną dla światowych marności.

Twarz jej pokryła się jednak śmiertelną bladością, gdy sir Ryszard oświadczył jej dnia pewnego, nagle i z udaną krwią zimną:

— Odjeżdżam... misja, którą miałem sobie powierzoną, skończona.

Oko jej łzą błysnęło. A gdy spytał z porywem namiętnym, który dowodził, iż Anglik zimny przemienił się zwolna w Paryżanina ognia pełnego:

— Byłżebym o tyle nieszczęśliwym, o ile rozradowanym, wycisnąć łezkę z pani oczu przecudnych?

Odpowiedziała szczerze, z głębokiem wzruszeniem:

— Byłeś sir ostatniem żywem wspomnieniem dni moich szczęśliwych... po twoim odjeździe nic mi już nie zostanie!

Ryszard skończył rozmowę u nóg pięknej Kasi. Wyznał jej klęcząc, iż kocha ją od dawna, nie śmiał jednak oświadczyć się z miłością, póki był zmuszony bawić we Francji. W Paryżu, w owem mieszkaniu, w którem była dzieckiem najdroższem pułkownika Delange, był tylko jej najpokorniejszym wielbicielem... Tu atoli wszystko się dla niej skończyło, a nie może przecie w kwiecie młodości, skazywać siebie na wieczną samotność i rozbrat zupełny ze światem. Dla czegoż

nie miałaby zacząć żyć na nowo, z nim pospołu, pod innem niebem, w jego zamku dziedzicznym, w hrabstwie Essex? Jest bogatym, niezależnym, może jej stworzyć raj na ziemi, będzie żyła jak królowa!

Kasia nie miała bynajmniej powodów odrzucić propozycję sir Ryszarda... wszak na razie niczego nie żądał. chciał tylko wyrwać ją z koła zaczarowanego ciężkich trosk i wspomnień pełnych melancholji. Nie mogła przecież nosić wiecznie żałobę. Rozczulał ją delikatnością form nadzwyczajną, uszanowywał nie tylko pewne skrupuły, wywołane wspomnieniem zmarłego pułkownika, umiał również z wszelką względnością przygotować teren, usunąć przykrości, które sprawia bądź jak bądź zmiana protektora. Przez całą podróż pozostał wiernym danemu przyrzeczeniu i nie zawiódł w niczem położonego w nim zaufania. Czekał najcierpliwiej na dowód najwyższej miłości ze strony Kasi, póki sama mu się nie oddała w jego zamku, w obcym kraju, pod innem niebem.

Była wdzięczną i jemu za dobroć i delikatność w obejściu, którą jej przypominał niemal czułość ojcowską pana Delange, chociaż wiekiem był więcej do niej niż tamten zbliżony. Otoczył ją przepychem i atencjami, których dotąd nie zaznała. Była niemal podniesioną do godności małżonki. W zamku pełnym woni i zieloności, świadczącej o żyzności gruntu, piękność Kasi bujnie się rozkwitnęła.

Pierwsze miesiące ich pobytu na ziemi angielskiej, upłynęły nader spokojnie i szczęśliwie. Nagle, po krótkiej bytności w Londynie, spostrzegła się, iż sir Ryszard wrócił dziwnie rozdrażniony i w ponurem usposobieniu, chociaż starał się to ukryć pod maską zupełnej obojętności. Mimo, iż ze szczęściem bynajmniej się nie popisywali, przeciwnie taili się z niem jak mogli, wieść o ich stosunku rozeszła się po świecie.

Sir Ryszard dostał ostre napomnienie w admiralicji. Kazali mu wybierać między stanowiskiem tamże zajmowanem, a obcą awanturnicą, wprowadzoną pod dach jego antenatów. I cała rodzina była w poruszeniu. Przebąkiwano o wzięciu go pod kuratelę, dopóki by nie wypędził z domu Francuzicy, którą, jak się wyrażał brutalnie stryjaszek kommodor, zebrał gdzieś na paryskim śmiecisku i śmiał postawić niemal na równi z prawdziwemi lady.

Oh, nie! Kasia nie była istotnie wielką damą... dowiodła tego porywem serca, w którym nie było ani krzty egoizmu, słowami, na które nie byłaby się nigdy zdobyła lady, myśląca naprzód o sobie.

— Gubisz się dla mnie!... Wiesz co! schowaj mnie gdziekolwiek... na jednem z przedmieść londyńskich... Nie będę ciebie przeto mniej kochała... Znajdziesz mnie każdej chwili, jeżeli ci będę potrzebną.

Odpowiedział jej uśmiechem i powierzeniem planu na przyszłość. Nie byłby się zdecydował wspomnieć jej o troskach chwilowych, gdyby naprzód nie był wykonał zamiaru. Dziś rano podał się do dymisji. Co do rodziny, zerwie z nią najchętniej wszelkie stosunki, aby żyć odtąd wyłącznie dla istoty nad wszystkich ukochanej. Będą nawzajem, bez przeszkody, całym światem jedno dla drugiego.

Radość Kasi była pomięszana z przeczuciem dziwnem, niewytłumaczonem, ale nie mniej boleśnie za serce ściskającem. Musiała jednak, nie chcąc popełnić czarnej niewdzięczności, uwierzyć wreszcie w szczęście bez chmur. Ryszard do niej z duszą i ciałem należał, tak jak to przyrzekł solennie. Aby usunąć cień nawet szpiegostwa, odprawił całą dawną służbę zamkową. Prosił również, aby Kasia imię zmieniła, i nowozaciężnym nakazał surowo aby ją milady tytułowali... Lady Karolinę tytuł ten głaskał po sercu, zaczynała śnić o nim na prawdę, powtarzając go po cichu tonem pieszczotliwym. Dla czegoż nie miała by zostać lady Norton? Posiadała broń po temu. Paluszki jej, skoro się raz dotknęły czyjego ramienia, umiały wycisnąć na niem ślad niczem nie starty. Młodość w samym kwiecie obiecywała jej lat wiele piękności zwycięzkiej, umiejącej pokonywać wszelkie zapory... Upojony, oczarowany Ryszard, prędzej czy później gotów popełnić mezaljans, kto wie nawet, czy sam nie będzie jej błagał o śluby dozgonne, jako rękojmię na przyszłość.

Więdła jednak wśród marzeń o przyszłej wielkości, zmęczona jednostajnością życia w zamku odludnym, życia prawdziwej lady. Sir Ryszard zaproponował jej pobyt w Brighton podczas sezonu kąpielowego.

Przystała po krótkim namyśle, przypuszczając zapewne, iż takie ukazanie się publiczne, przyspieszy zerwanie zupełne Ryszarda z Cant'em czysto angielskim, torując jej drogę jednocześnie do urzeczywistnienia dumnych zachcianek. Z najwyższem zadowoleniem ukazywała się wszędzie, wsparta na ramieniu sir Ryszarda, na balach kasynowych, w teatrze, słyszała z ust służby hotelowej tytuł milady powtarzany z wielkiem uszanowaniem, cokolwiek może przesadnem, co jednak sprawiało jej wrażenie jeszcze przyjemniejsze, niż gdy ten tytuł dawali jej słudzy własni. Gdy tak jej dzień po dniu upływał w wirze zabaw światowych, przygłuszając smutne przeczucia, czychała na nią z boku straszna katastrofa, mająca przeciąć w sposób gwałtowny nić jej marzeń i pozbawić ją szczęścia obecnego.

Pewnego wieczora, siedziała obok sir Ryszarda, nad brzegiem morza, na głównej promenadzie, gdy jakiś Francuz, mijając ich, zmierzył młodą kobietę rzutem oka badawczym i wyzywającym.

Baron pobladł, dał się jednak zatrzymać spojrzeniem błagalnem swojej towarzyszki. Na nieszczęście, przechodzień wrócił i powtórnie wpatrzył się w twarz Kasi, dość co prawda impertynencko. Tym razem zerwał się Ryszard na równe nogi, szybkim krokiem zbliżył się do nieznajomego, zakazując mu tonem stanowczym, przechadzkę w tym kierunku. Francuz za całą odpowiedź uśmiechnął się drwiąco i poszedł dalej. W kilka minut znalazł się w tem samem miejscu, tak jak przedtem niegrzecznie. Sir Ryszard tym razem rzucił się

na niego, i ściągnął laską bez wszelkiej przemowy. Wdali się inni w tę sprawę. Nieznajomy podał bilet wizytowy. Był to oficer francuzki, który nie chciał, jak się tłumaczył, uchybić honorowi sztandaru, pod którym służył, wysłuchaniem rozkazu wypowiedzianego przez Anglika, i do tego w sposób tak szorstki. Pojedynek był nie uniknionym.

Odprowadził do hotelu lady Karolinę niemal w stanie omdlenia, z głuchem łkaniem, serce rozdzierającem. Dostała ataku nerwowego. Uważając siebie jako powód tego nowego skandalu, błagała go na kolanach, żeby się z nią rozłączył, lub gdzieś na koniec świata uciekał pospołu. Uspokoił ją kilkoma słowy, i z zwykłą galanterją prosił o kilka godzin wolności. Zjawił się u niej późno w nocy, z dwoma kawałkami papieru.

— Strzelam się jutro rano... Moi sekundanci porozumieli się z tamtą stroną... Trzeba wszystko naprzód w życiu, dziecię kochane, przewidywać; ja też tak czynię.. Gdyby mnie spotkało jakie nieszczęście, oto telegram, który wyszlesz łaskawie do mojego stryja komodora... Jest obecnie głową rodziny, do niego by zatem należało, wydać ostatnie, tyczące się mojej osoby, rozporządzenie... Co do ciebie, nie czekając jego przybycia, wracaj natychmiast do Francji. Ten drugi papier, zapewni ci przynajmniej swobodę i niezależność, w zamian za szczęście, którem radbym był życie twoje całe opromienić.

Z piersi ścieśnionej nie była w stanie głosu wydobyć... Ten spokój niewzruszony, przygniatał ją i ubezwładniał... Myślał więc o wszystkiem, o niej, jak i o swojej rodzinie... Gdy wreszcie znalazła dość siły, aby zawołać za odchodzącym, kamerdyner, który wpadł na jej krzyk przeraźliwy, oświadczył, że pan baron hotel opuścił. Miał spędzić resztę nocy u jednego ze swoich przyjaciół, dżentelmena, który posiadał własną strzelnicę, i doskonale urządzoną salę fechtunkową.

Przywieziono nazajutrz z rana sir Ryszarda z kulą w piersi. Ruch powozowy przyspieszył krwiotok wewnętrzny. Jęknął na progu pomieszkania, po raz ostatni uścisnął dłoń Kasi, spojrzał na nią powieką cieniem śmierci zamgloną i... skonał. Nic jej nie zostawało, jak dopełnić zlecenia podwójnego. Wysłała zatem telegram do stryja, sama zaś natychmiast z miljonem, zostawionym jej przez kochanka, wsiadła na statek, ku Francji odpływający.

Gdy para zahuczała, a brzegi Anglji znikały powoli, w toń morską zapadając, Kasia uczuła, jak ją opuszcza sztuczna odwaga, a natomiast ogarnia rozpacz czarna i zwątpienie... Unosiła wprawdzie w zanadrzu fortunę książęcą, która jej zapewniała wszelkie wygódki i zupełną niezawisłość, nie wystarczała jednak, aby zatrzeć w jej sercu pamięć dni szczęścia, aby jej wynagrodzić rojenia pełne dumy, które już... już... miały się urzeczywistnić!... Wszystko się dla niej skończyło! Bogata, niezależna, lady Karolina, czuła się jednak spętaną tym olbrzymim majątkiem. Nędza, o którą się niemal otarła, karjerę rozpoczynając, nie dozwoliła jej odrzucić daru wspaniałego, ostatniej pamiątki po sir Ryszardzie. Była zanadto dzieckiem swojego stulecia, aby nie pojmować uroku pieniędzy, i to jednak zrozumiała, iż tak samo, jak nie podobna jej rozłączyć się z pozycją gotową, pogardzając owym miljonem, nie powinna by również, obciążona tak wielką sumą, prowadzić dalej życie prostej awanturnicy.

Była zresztą pod wpływem zabobonnego niemal uczucia. Tych dwóch ludzi, ginących nagle, szczególnym zbiegiem okoliczności, dotkniętych ciosem śmiertelnym prawie w jej objęciu, czyż nie piętnowali jej jakąś dziwną, niepojętą fatalnością? Czy z jej istotą nie była związana jakaś tragiczna Gettatura? Czy śmierć dwóch ludzi, którzy ją bądź co bądź szczerze kochali i tak znaczna gotówka, nie skazywała jej niejako na życie samotne i porządne, mieszczanki, kapitalistki?

Starała się oswoić i pogodzić z tą myślą, iż odtąd powinna zadowolnić się samotnem używaniem procentów od kapitału i nawykała powoli do tej nowej zmiany w jej życiu. Usposobienie melancholijne nie wykluczało jednak u niej zmysłu praktycznego. Nająwszy sobie tymczasowo apartamencik już umeblowany, pomyślała następnie o dobrem umieszczeniu pieniędzy. Najpomocniejszym mógł jej być do tego kuzynek Alfred, adorator platoniczny, z lat pierwszej młodości, a dziś wspólnik bankiera, u którego był niegdyś szefem biura. Udała się do niego w tej sprawie, podpisując się jak dawniej: „Katarzyna Vauquelin."

Przyszedł podrażniony dziwnie komfortem, który otaczał młodą kobietę. Nie pytając o nic, poradził najszczerzej, aby jakie ma pieniądze, włożyła w akcje kanału suezkiego, które muszą pójść w górę niebawem. Żegnał się z nią smutny, jakby ciężarem jej kapitałów przytłoczony.

Kasia wielce znudzona i zniecierpliwiona kuzynka zbytniem uszanowaniem, ale równocześnie zupełnie spokojna, posłuchała bez wahania jego rady. Czyż przerażenie Alfreda w obec tych pieniędzy, których nie znał pochodzenia, nie świadczyło dostatecznie o jego nieposzlakowanej uczciwości?

Kuzynek Kasi bynajmniej się nie pomylił. Akcje Kanału tak nagle i tak szalenie podskoczyły, iż w kilka miesięcy, lady Karolina kapitał włożony podwoiła. Napisała wtedy list drugi do pana Guyon, prosząc, aby raczył przyjść sam po należące mu się najsłuszniej słowa dziękczynne z jej strony.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.